

Łukasz Maślanka: Wojna zastępcza? Syria wobec polityki mocarstw

Syria to Verdun współczesnego świata, który to jest jednak na tyle praktyczny i cyniczny, by nie fundować sobie tego Verdun pod Waszyngtonem, Moskwą czy Paryżem - pisze Łukasz Maślanka w "Teologii Politycznej Co Tydzień": Gambit syryjski.

Chociaż II Wojna Światowa była ostatnim otwartym konfliktem wielkich mocarstw, to jednak liczne toczące się od tamtej pory lokalne wojny w różnych miejscach świata zwykło się traktować jako symptomy rywalizacji interesów potęg. Taki sposób rozwiązywania konfliktów został przez nie bowiem uznany za bardziej ekonomiczny i w zasadzie jedynie możliwy wobec zagrożenia nuklearnej zagłady. Podobne spojrzenie na np. wojnę koreańską, wietnamską czy iracką łączy elity rządowe wielkich mocarstw, przedstawiciele tzw. szkoły realistycznej i neorealistycznej w geopolityce, a także radykalnych krytyków polityki Zachodu ze środowisk alterglobalistycznych. Tocząca się od pięciu lat wojna w Syrii z całą pewnością daje się zakwalifikować jako konflikt zastępczy ze względu na niezwykle wysoki poziom zaangażowania w sprawy syryjskie głównych graczy światowej polityki. Nie powinno to jednak prowadzić nas do wniosku, że krwawe wydarzenia na Bliskim Wschodzie zawsze są wyreżyserowane, zaś ich przebieg zawsze daje się przewidzieć na podstawie oceny interesów Rosji, USA, Francji, Turcji, Arabii Saudyjskiej, Iranu czy Izraela. Napięcia religijne, społeczne, polityczne czy personalne, choć traktowane często instrumentalnie, są autentyczne i prowadzą do nieoczekiwanych zwrotów akcji.

Na czym polega geopolityczna zapalność Bliskiego Wschodu? Region ten był do niedawna jednym z najważniejszych dostarczycieli źródeł energii dla najbardziej rozwiniętych części świata. W ogromne zasoby bogactw naturalnych obfitują jednak tereny o bardzo niejednorodnym zaludnieniu, poziomie kulturowym, charakterze władzy politycznej. Poziom skonfliktowania poszczególnych grup narodowościowych i religijnych nie ustępuje w żaden sposób sytuacji na Bałkanach. Bliski Wschód widział także w swojej najnowszej historii kilka nieudanych prób politycznej integracji. Syria doświadczyła po I wojnie światowej aż trzech: w ramach francuskiego imperium kolonialnego, jako część panarabskiego projektu nacjonalistycznego oraz ostatnio podjętą próbę włączenia tego kraju do projektu światowego kalifatu sunnickiego. Sama nazwa oraz kształt tego kraju jest przecież dziedzictwem kolonialnego konstruktywizmu mocarstw europejskich, które następnie uzyskało sankcję "swojskości" w czasie nurtującej kraje arabskie gorączki nacjonalistycznej lat 50-70.

Przypadek Syrii jest ciekawym punktem wyjścia do refleksji nad przekleństwem oraz błogosławieństwem, jakie niesie ze sobą położenie geograficzne. Powinien stać się także groźnym *memento* dla naszych decydentów, którzy obecnie chyba trochę za bardzo uwierzyli w magiczne właściwości wynikające z naszego newralgicznego ulokowania w Europie. Syria (zupełnie jak Polska) leży w wystarczającym stopniu na uboczu centrów technologicznych i produkcyjnych świata, by obrócenie tego kraju w perzynę zostało uznane przez głównych graczy w systemie za koszt możliwy do zaakceptowania. Jednocześnie jej znaczenie jako kraju tranzytowego (zwłaszcza w kontekście przesyłu surowców) jest na tyle wielkie, by wzbudzić pod koniec poprzedniej dekady zainteresowanie wielkich graczy gospodarczych i politycznych.

Do czasu wydarzeń bezpośrednio poprzedzających tzw. Wiosnę Arabską polityka syryjska skupiała się głównie na destabilizowaniu sytuacji w Libanie oraz podejmowaniu innych działań, których celem było ograniczenie pola manewru polityki izraelskiej. Izrael i Syria pozostawały w stanie wojny od 1967 roku, kiedy to udana ofensywa wojsk izraelskich spowodowała przyłączenie do państwa żydowskiego terenu Wzgórz Golan. Ich znaczenie z punktu widzenia bezpieczeństwa Izraela jest absolutnie kluczowe ze względu na to, że blokują one dostęp do Jeziora Genezaret stanowiącego jedyne źródło wody pitnej dla tego kraju. Stan wojny między dwoma państwami przekształcił się wkrótce w lokalny odprysk wielkiej rywalizacji geopolitycznej: Zjednoczona Republika Arabska (obejmująca Egipt i Syrię) była intensywnie dozbrajana przez Związek Radziecki, podczas gdy Izrael został otoczony militarną opieką Stanów Zjednoczonych. Trzeba jednak wyraźnie podkreślić, że sojusz izraelsko-amerykański został zawarty dopiero po wojnie sześciodniowej w reakcji na naruszenie przez sojuszników ZSRR równowagi geopolitycznej na Bliskim Wschodzie. Syria podjęła nieudaną ostatecznie próbę odzyskania Wzgórz Golan w czasie wojny Jom Kippur (1974). W kolejnych dekadach rywalizacja syryjsko-izraelska toczyć się miała na terytorium Libanu, skąd milicje szyickie zaczęły zagrażać bezpieczeństwu północnych obszarów państwa żydowskiego. Liban, wcześniej nazywany Szwajcarią Bliskiego Wschodu ze względu na umiarkowane rządy chrześcijańskich Arabów, na długie dekady zamienił się w to, czym dziś jest Syria. Trzeba bowiem pamiętać, że inspiracja syryjska w działaniach antyizraelskich miała charakter, żeby tak powiedzieć, „matrioszkowy”. Głównym inspiratorem był ZSRR (Rosja), następnie, od czasów rewolucji islamskiej, Iran, reżim Assadów był zaś dopiero na trzecim miejscu tego łańcucha pokarmowego. Rolę *anus mundi* pełnił Liban do chwili, w której położenie geopolityczne Syrii sprawiło, że jej terytorium również

stało się areną działań gwałtownych. Mógł być to zresztą czynnik, który zachęcił ajatollahów do dokonania zwrotu w swojej konsekwentnie antyamerykańskiej polityce (przestraszyli się, że mogą być następni).

Czy zatem Wiosna Arabska była efektem sprzysiężenia któregoś z mocarstw? Jedną z licznych teorii spiskowych kolportowanych przez pudła rezonansowe propagandy rosyjskiej wokół tzw. Wiosny Arabskiej jest ta o sprawczych działaniach Izraela i Stanów Zjednoczonych. Nieprzejednani wrogowie Rosji wolą z kolei mówić złowrogim oku Moskwy, które zawisło nad Bliskim Wschodem i Afryką Północną. Wszyscy mają rację i wszyscy się mylą.

Izrael. Jerozolima i Tel Awiw były chyba najbardziej przerażone upadkiem swoich starych wrogów w Damaszku i Trypolisie lub „męskich przyjaciół” w Kairze. Najgorszy wróg to bowiem wróg nieznany. Każdy, kto choć pobieżnie orientował się w nastrojach świata arabskiego lat 90. i 2000. wiedział, że są one znacznie bardziej radykalne od nastroju elit. Demokratyzacja tych krajów byłaby zatem naturalnym etapem na drodze do ustanowienia reżimów mogących potencjalnie stanowić znacznie większe zagrożenie dla bezpieczeństwa Izraela.

Rosja. W interesie rosyjskim jest to, by na Bliskim Wschodzie nigdy nie zapanował pokój. Podobno największym marzeniem Władimira Putina jest doprowadzenie do wielkiej wojny irańsko-saudyjskiej, a następnie postawienie się w roli arbitra między tymi dwoma państwami. Na odcinku syryjskim Rosja wraz z Iranem zachęcały Syrię do dozbierania bojowników Hezbollahu, by destabilizować sytuację w Libanie i zachęcać Izrael do działań militarnych wzmagających nienawiść świata

arabskiego przeciwko Żydom. Z drugiej strony, Rosja po upadku ZSRR zbudowała sobie w Izraelu potężne ośrodki wpływu sięgające najwyższego dowództwa armii oraz służb specjalnych. Pomogła w tym ogromna emigracja żydowska z Rosji, która mimo tragicznych wspomnień z byłej ojczyzny, zachowała w znakomitej większości bezwzględność wobec niej lojalność. Izraelskie środowiska zaprzyjaźnione z Rosją wykazują jednocześnie najbardziej nieprzejednaną (graniczącą z rasizmem) postawę wobec Arabów. Nie trzeba już nic więcej dopowiadać: Rosja stosuje swoją stałą taktykę dowartościowania ekstremistów po obu stronach, taktykę, która znana jest nam także z Europy. Należy jednak wątpić w to, że generalną akcją destabilizacji Bliskiego Wschodu, Rosja zaczęłaby od zniszczenia swojego głównego sojusznika, jakim był reżim Assada.

Stany Zjednoczone. Assad (ojciec i syn) prowadził politykę konsekwentnie antyamerykańską. Głównym jednak wrogiem Ameryki na Bliskim Wschodzie po upadku Saddama Husajna był Iran. Mocarstwo perskie stanowiło poważną przeszkodę w utrwaleniu takiej architektury regionu, która dawałaby Ameryce pozycję wyłącznego arbitra. Uderzenie w Syrię nie byłoby rzeczą głupią, gdyż kraj ten (razem z Libią) stanowił po prostu najsłabsze ogniwo osi Moskwa-Teheran-Damaszek-Trypolis. Zwłaszcza że niepokoje w Syrii zaczęły się tuż po zarzuceniu przez tandem Obama-Clinton planów ataku na Iran. Są jednak znaki zapytania: prawdopodobieństwo chęci destabilizacji Syrii przez USA byłoby większe, gdyby interwencja w Iraku i Afganistanie zakończyła się sukcesem. Trudno przypuszczać, by Amerykanie chcieli równocześnie również uderzać w swoich tak wypróbowanych przyjaciół, jak Hosni Mubarak.

Kraje Zatoki Perskiej. Bardziej wytrwali obserwatorzy polskiej sceny politycznej pamiętają może, że jedną z pozytywnych obsesji prezydenta Lecha Kaczyńskiego był gazociąg Nabucco, który korzystając ze złóż azerskich i irańskich (w północnej swojej odnodze) miał zmniejszyć uzależnienie Europy od Gazpromu. Mniej osób jednak pamięta, że Nabucco miał również posiadać odnogę południową, która prowadzić miała gaz z Kataru, przez Syrię i Turcję do Europy. Realizacja tego pomysłu była oczywiście niemożliwa, tak długo, jak kontrolę nad Syrią sprawował prorosyjski reżim Assada. Kraje takie jak Katar nie miałyby również żadnych problemów, by nawiązać kontakty z sunnicką opozycją wobec umiarkowanie szyickiego rządu syryjskiego w celu jego destabilizacji.

Ewentualna inspiracja zewnętrzna, skądkolwiek by nie pochodziła, wymagała jednak równocześnie podatnych warunków wewnętrznych. Reżim Assada, choć oddalony od komunizmu, posiadał jednak pewne cechy sklerotycznych satrapii postsowieckich pokroju Kuby czy republik środkowoazjatyckich. W warunkach zacofanej i niedoinwestowanej gospodarki funkcjonowało tam społeczeństwo dość dobrze wykształcone (wykształcone, warto dodać, staraniami tego właśnie reżimu), ambitne i młode, którego poglądy ideologiczne zaczynały bardzo rozjeżdżać się z oficjalną propagandą. Laicki zamordyzm nie odpowiadał bowiem ani rosnącym w siłę środowiskom fundamentalistycznym, ani cieniutkiej warstwie prozachodniej inteligencji. W takich warunkach społecznych wywołanie rebelii nie było sprawą szczególnie trudną. Bardzo możliwe, że rolę inspiratorów odegrały tutaj środowiska pozarządowe – mam na myśli prywatnych graczy gospodarczych lub ideologicznych.

Wojna syryjska była krwawa od samego początku, lecz prawdziwa rzeź rozpoczęła się od momentu powstania tzw. Państwa Islamskiego. Także w przypadku tego zupełnie już apokaliptycznego bytu skłaniam się ku hipotezie, że jego powstanie było skutkiem inspiracji licznych osób i organizacji, z których żadna nie musi być państwem lub wielkim mocarstwem (a także próżni politycznej, jaka wytworzyła się po opuszczeniu Iraku przez Amerykanów). Sposób działania ISIS jest bowiem na tyle nieprzewidywalny, by stwarzać zagrożenie dla interesów wszystkich graczy w systemie. Powstanie Państwa Islamskiego dało jednak pretekst do bezpośredniej interwencji Rosji oraz Turcji. Doszło na tym tle najpierw do gwałtownego starcia politycznego tych dwóch mocarstw (zestrzelenie rosyjskiego samolotu), a następnie do próby uzgodnienia wspólnych interesów. Nie udało się to, ale konflikt wojenny byłby dla Moskwy i Ankary zbyt kosztowny, toteż Putin i Erdogan starają się robić dobrą minę do złej gry. Niewykluczone zresztą, że dojdzie do podziału Syrii w oparciu o interesy tych dwóch krajów: Rosja zachowa kontrolę nad wybrzeżem Morza Śródziemnego, Turcja „zabezpieczy” natomiast tereny zamieszkiwane przez sunnitów i Kurdów. Wydaje się, że wszyscy obecnie czekają na pierwszy ruch szachowy prezydenta Trumpa. Niezwykle bolesne jest to, że robią to w sposób potęgujący rozmiary tragedii Syryjczyków (jak na przykład naloty na Aleppo).

Wojna domowa w Syrii mogłaby wybuchnąć bez inspiracji zewnętrznej i w innym położeniu geopolitycznym tego kraju. Warunki do niej stwarzały bowiem stosunki społeczne w republice Assada. Jej długotrwałość, zapamiętałość i okrucieństwo są jednak oczywistym skutkiem tego, że zaangażowali się w nią bardzo potężni gracze, z których żaden nie chce na obecnym etapie zrezygnować ze swoich udziałów w grze. Syria to zatem Verdun współczesnego świata, który to

jest jednak na tyle praktyczny i cyniczny, by nie fundować sobie tego Verdun pod Waszyngtonem, Moskwą czy Paryżem. Powinniśmy o tym pamiętać jako obywatele kraju tranzytowego, który jednak nie daje światu niczego, bez czego on nie może się obejść.